

zadowolenia, że pewno teraz martwi się, że zostawiła dom, męża, dziecko...

Niech się martwi, niech żałuje, zaś ja będę bardzo uprzejmy, troskliwy, dbały o nią, ażeby poznała, ile traci.

Widząc ją tak wciśniętą w kąt, zdjął z półki pled i rzekł:

— Wandziu, może ci chłodno, okryję ci nogi, — zbliżył się.

— Dziękuję ci... Dobrze mi... nie chcę pleda, — odsunęła pospiesznie nakrycie z nóg.

— Jak się czujesz Wandziu? — składał pled na półce.

— Dobrze.

— Wiesz, co mi ciocia na samem odjeździe powiedziała?

— Co?

— Zawiadomiła mnie, że przenosi się do twego gabinetu, ażeby być bliżej Ninki. Nie mówiła tobie tego, sądząc, że się sprzeciwisz ze względu na jej zdrowie.

Pani Wanda odetchnęła, obawa o dziecko prawie znikła, a wzrosła wdzięczność dla ciotki i powiedziała rozczulona:

— Jaka ona dobra!

— Nie sprzeciwiłem się temu, chociaż ta troskliwość wydaje mi się zbyt dużą, tylko powiedziałem, ażeby twoje meble kazala przenieść do innego pokoju.

— Dopilnowanie dziecka jest stokrót ważniejsze od mebli, — powiedziała twardo, — czy podziękowałeś cioci?

— Nie było czasu.

Jaki on gbur? Jak nie posiada najmniejszego poczucia delikatności? Staruszka poświęca się dla jego dziecka, a on każe jej usunąć meble z pokoju! Gdzież ona usiądzie? Ile kłopotu będzie miała, ażeby jako tako umeblować pokój?!

Milczeli czas jakiś, wreszcie on, chcąc ją zabawić, zaczął:

— Wiesz, Wandziu, na ostatniem polowaniu, Władek Świrski fatalnie pudłował. Wyobraź sobie, chybił raz po raz do czterech zajęcy, aż tu na drugim miocie wychodzi na niego lis, jakie pięćdziesiąt kroków...

I dalej opowiadał, jak Świrski spudłował, jak lis zawrócił i jak on na sto trzydzieści kroków powalił go celnym strzałem.

Słuchała go niesłuchając, dziwiąc się lekceważąco, jak można z takim zajęciem i śmiechem opowiadać tak bląhą rzecz.

Pan Michał, pobudzony swem opowiadaniem, przypomniał sobie doskonałą sprzedaż konia z koletem na jarmarku, która się udała jednemu ze sąsiadów i kończył:

— I tak się ucieszył pozbyciem się konia, że wyprawił ucztę, trochę przegrał w karty, a nazajutrz musiał konia sprzedanego przyjąć i pieniądze zwrócić. I konia się pozbył i dopłacił grubo do tej zabawy. Czy to nie jest doskonałe? — śmiał się.

Ona, wyobrażając sobie te targi, hałasy, krzyki, pijatykę, słuchała z obrzydzeniem, a widząc go tak rozbawionym, poczuła wstręt do niego. I to jest mój mąż, ojciec mego dziecka! I ja go niegdyś kochałam, całowałam go, słuchałam z przyjemnością jego banalnych opowiadań! Gdzie miałam oczy?

Jakiż on brzydki! Czoło niskie, włosy rzadkie, łysawy; usta grube, zmysłowe; wąsy pretenzyonalnie podkręcone; twarz czerwona, prostacka; ruchy niezgrabne, ociężałe; oczy bez wyrazu, tylko błyszczą przy dobrym jedzeniu lub pożądaniu. I takie zmarszczył! Jakiż on stary, pomyślała, chociaż pan Michał liczył trzydzieści osiem lat, ona zaś miała dwadzieścia trzy.

Odwróciła oczy i patrzyła na migającą się okolicę, nudną i płaską. On poszedł za jej wzrokiem i ziewając mówił:

— Masz też patrzeć na co! Piaski, błota i zagajniki.

— Cóż mam robić? — weschnęła.

— Wiesz, Wandziu, — ożywił się, — a może- byśmy coś zjedli? Mam doskonałą kuropatkę,

— sam upolowałem, — sięgnął po eleganckie, skórzane puzderko i otwierał, — czy ci podać?

— Nie, dziękuję.

— Są sardynki wyborne, sam dopilnowałem, zupełnie świeże, — podawał na talerzyku, a na przeczący ruch głową dodał, — a może kruche rogaliki? wyglądają wcale dobrze.

— Dziękuję... nie mogę myśleć o jedzeniu.

— To dziwne; jechaliśmy godzinę powozem, a koleją prawie godzinę, czuję głód niemal, — wyjął kuropatkę, przygotowywał nóż i widelec, — a może napijesz się kieliszek burgunda starego, umyślnie go wzięłam dla ciebie.

— Wiesz, że nie pijam alkoholów.

— To nie alkohol, to lekarstwo... napij się.

— Dziękuję, — patrzyła w okno, lecz w odbiciu widziała, jak mąż je.

Przypomniały się jej jego narzekania, docinki, drwiny z dysponowanych przez nią obiadów i nagle poczuła takie obrzydzenie do jedzącego, że wstała i wyszła na kurytarz.

Wróciła po dobrej chwili, ujrzała na papie-

podbródkiem, z włosami zmierzwionymi. Usta miał półotwarte i widać było ostre, żółtawe zęby, a przez nos zatłakany i gardło zajęte dobywały się chrypliwe, świszczące oddechy. Rozwalony na kanapce, w bezwładzie snu nie miał w sobie nic miłego.

Patrzyła na niego z rosnącą niechęcią i szepnęła drwiąco:

— I to nazywa się człowiek, bo ma dwie nogi.

Zaczęła rozpamiętywać dzieje swej miłości. Czula do siebie wstręt, pogardę, że mogła go kochać, człowieka tak małego, banalnego, zmysłowego! I to on zabrał, ukradł, zrabował jej pierwsze rojenia o miłości, szczęściu, rozkoszy! I to zwierzę brutalne, łakome, łaknące, jest jej mężem! Ma prawo do niej!

Jakże go szczerze nienawidziła! Jak pogardzała sobą, że mogła wyjść za niego, przyjmować i odwzajemniać miłość... To był jakiś obłęd u niej, jakieś znieczulenie zmysłów, obezwładnienie woli, rozum i krytyki.

Palily ją suche oczy, siłą powstrzymywała krzyk oburzenia i rozpacz, zaciskała zęby i drżała ze zgrozy i wstrętu do siebie i do niego.

Byłam głupią, niedoświadczoną dziewczyną, ale on! on!

I rósł gniew, żal, zawziętość. Wyszła na kurytarz, prąd zimniejszego powietrza ochłodził ją, zwolniła się uspokoiła, a patrząc przez pół otwarte drzwi na śpiącego, uśmiechnęła się z gorczyzą, zadając sobie znów pytanie?

— I poco on jedzie ze mną? Je, śpi, chrapie i tylko mi przeszkadza, a byłoby mi tak dobrze bez niego.

Obudził się, a nie widząc żony, zerwał się, odchylił drzwi szerzej i zawołał:

— Wandziu, a ty gdzie? Tak się przeraziłem, śniłem o rozbiciu pociągu.

— Nic się nie stało, — patrzyła z przykrością na zaspaną minę, na ubranie w nieładzie.

Na Granicy zmusił ją niemal do przełknięcia kilku łyżek zupy i wypicia herbaty.

Gdy w Krakowie przyjechali do hotelu, zażądał pan Michał pokoju obszernego z dwoma łózkami.

— Jestem taka zdenerwowana i zmęczona, — odezwała się po francusku pani Wanda, — że wolalabym mieć swój pokój oddzielny.

Spojrzał na nią obrażony i mruknął w tym samym języku:

— To sensu nie ma, — a następnie po polsku do portyera: — proszę o dwa sąsiadujące numery.

— Są, jasne panie, ale nie łączą się ze sobą.

— Co za nędzny hotel, — irytował się, — nie macie apartamentu?

— Trzy, ale są na razie zajęte. Jutro jeden będzie wolny.

— No, proszę więc o dwa pokoje.

Gdy szli schodami mówił pan Michał podrażnionym głosem po francusku:

— Zastosowałem się do twego dziwactwa, nawet mi nie podziękowałaś... i co pomyśli o nas służba?... jak można afiszować tak swe humory?

— Co nas służba obchodzi, byle nam dogodniej było, — odpowiedziała obojętnie.

— Dogodniej? jak dla kogo... Może zjemy kolację razem? — spojrzał na zegarek, — dopiero dziesiąta.

— Wolę odpocząć po podróży.

— Każę przynieść do numeru.

— Nie... Dziękuję ci.

— Musisz przecież coś zjeść, prawie nic nie jadłaś... osłabniesz.

— Nie chcę jeść.

— Nie, to nie, — rzekł gniewnie, — ależ rozhułały się twoje nerwy.

Pani Wanda, wchodząc do swego numeru, rzekła:

— Zaraz się położę... Dobranoc, — zamknęła drzwi.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wkrótce zasnął, chrapiąc głośno.

rze ogryzione kości z kuropatwy, okruszyny bułek i ciastek, brudne talerzyki i kieliszki.

— Wandziu, zjedz chociaż jabłko, — podawał ładny owoc, — jeśli nie jestem Parysem na górze Ida, chciałbym odegrać rolę Ewy z raju, — śmiał się.

Chcąc się pozbyć jego dalszych zaprosin, przyjęła jabłko, usiadła w swym kącie i wzięta powiesić francuską do ręki. Czytała

On bardzo porządnie pochował naczynia, resztę jedzenia do puzderka, wyrzucił kości przez okno i spytał:

— Co czytasz?

— Powieść.

— Szkoda oczu natężyć w wagonie.

— Nie mam nic lepszego do roboty.

— Zrób tak, jak ja, prześpij się, prędzej czas minie.

Ułożył się wygodnie na przeciwległej kanapce, zdjął but, który go cisnął, rozpiął koszulę u szyi, i wkrótce zasnął, chrapiąc głośno z powodu kataru.

Rozcinając kartki czytanej książki, spojrzała na męża. Wyglądał istotnie nieszczególnie, z twarzą pełną, czerwoną, świecąca; z opadniętym